

WEZWAŁEM CIĘ PO IMIENIU

Na pierwszy rzut oka sytuacja wydaje się komiczna. Mamy oto przed sobą Zacheusza, osobistość liczącą się w tej małej mieścinie, jaką było Jerycho, urzędnika wysokiej rangi — zwierzchnika celników, człowieka bardzo bogatego; i dostrzegamy, jak przeniknięty ciekawością wdrapuje się na sykomorę, patrzy na kłębiący się tłum pod jego nogami — wokół młodego Rabbi. Nie jest to scena nazbyt duchowa! A przecież w spotkaniu Jezusa z Zacheuszem możemy odkryć wszystkie elementy misji Chrystusa, Syna Człowieczego, Tego, który przychodzi szukać i zbawiać, co było zginęło.

()

W życiu Zacheusza było coś, co go niepokoiło. Nie uświadamiał on sobie tego jasno; nie widział jeszcze istoty problemu, ale czuł potrzebę uczynienia czegoś. Albowiem sytuacja taka nie mogła trwać dłużej. Na początek pragnął przynajmniej spojrzeć, dostrzec Tego, z kim chciałby się spotkać. Następnie, o ile udałoby mu się zwrócić na siebie uwagę Jezusa, zapragnąłby chyba krótko z Nim pomówić. Wreszcie, gdyby wszystko się dobrze ułożyło, zdobyłby się, być może, na odwagę omówić z tym Człowiekiem sprawę, która go dręczyła. Zacheusz był bowiem bardzo zajęty, ale i zafrapowany. Jednomyślne lekceważenie go przez całe miasto jako celnika, to spoglądanie na niego i na jego kolegów z góry przez współmieszkańców — było wprost nie do zniesienia. Ale ostatecznie było to zjawisko czysto zewnętrzne; trudność czysto naskórkowa, która — na dłuższą metę — mogła stać się, mimo wszystko, bardzo męcząca. Prawdziwym problemem było samo wewnątrz: Zacheusz nie był w zgodzie ze swoim sumieniem. Uświadamiał sobie w głębi serca, kim był naprawdę: łapownikiem, człowiekiem żadnym zysku tak dalece, że nie wahał się nawet posuwać do okrucieństwa. A przecież wiedział, że nie powinien być tak postępować; niejednokrotnie usiłował nawet zmienić swoje życie. Jego dobre intencje nie trwały jednak zbyt długo. Trzymał się przez kilka dni, a następnie, gdy coś go wytrąciło z równowagi, powracał do dawnych przyzwyczajeń.

(...)

Zacheusz pragnie najpierw ujrzeć Jezusa: zobaczyć, kim On jest. Sam jest jednak za mały: nie może dostrzec Jezusa z powodu tłumu. Tu właśnie dostrzegamy analogię z naszą sytuacją życiową. Nie jest bowiem rzeczą wykluczoną, że tłum nie pozwoli nam dostrzec Jezusa. Musimy wówczas wznieść się wyżej, aby Go ujrzeć; ale uwaga: wznieść się ponad tłum — to bardzo niebezpieczne! Tłum nie lubi i nie znosi czegoś takiego. Pogarda osób nam podobnych może, bardziej niż cokolwiek innego, zatrzymać nas w drodze do Boga. Obawiamy się tego, co inni mogliby o nas powiedzieć. Ten strach przed ośmieszeniem bardziej nas paraliżuje, aniżeli jakiś bezpośredni atak czy gwałtowna krytyka. Ileż to dobra nie spełniono tylko dlatego, że baliśmy się opinii innych! Łodowacujemy po prostu na myśl: „Co powiedzą inni?”

(..)

Tyrania osób nam podobnych! To na nią mamy się wspinać, jeśli chcemy dostrzec, kim jest rzeczywiście Jezus. Zacheusz miał odwagę wznieść się ponad tłum; możemy też być pewni, że ludzie naigrawali się z niego, wysmiewali go: oto naczelny inspektor, zwierzchnik od podatków — w tak zabawnej pozycji! Ale Zacheusz — w tym właśnie momencie — nie zwracał na nich żadnej uwagi, albowiem jedynym, co go zajmowało, było ujrzanie Jezusa. I oto, gdy on tak wisi na drzewie, zaczyna się dziać coś nieoczekiwanego. Jezus, ten Rabbi, który go wcale nie znał, zwraca się do niego tak, jakby Zacheusz był jednym z dawnych znajomych, jednym z Jego przyjaciół. Tak też było istotnie: Zacheusz jest Jego przyjacielem, albowiem Jezus przyszedł właśnie do takich ludzi, jak ten oto celnik:

„nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, lecz grzeszników”
(Mt 9, 13).

Skoro więc Zacheusz jest grzesznikiem, jest on jednym spośród tych, których Jezus szuka. W Ewangeliach dostrzegamy zdumiewającą relację Jezusa do grzeszników. Jego imię — wyraz Jego misji — brzmi: „Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów” (Mt 1, 21). Tutaj zaś, na drzewie znajduje się człowiek potrzebujący zbawienia. Zdumiewające i odkrywcze zarazem jest stwierdzenie reakcji Jezusa na widok osób, które Go otaczają. Uzdrawia chorych, KTÓRYCH PRZYPROWADZANO DO NIEGO; widząc jednak grzeszników, sam przejmuje inicjatywę, idzie ku nim — jak to czyni także w przypadku Zacheusza. Zwraca się do tego zaniepokojonego człowieka:

„Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu” (Łk 19, 5).

Zejdź! Zstąp! Jest to pierwsza rzecz do uczynienia. Mamy stanąć obydwojma nogami na ziemi; w przeciwnym razie Jezus nie może niczego dla nas uczynić.

(...)

Wreszcie w domu... Jezus nie prawi morałów Zacheuszowi. Okazuje mu po prostu zaufanie i miłość bez granic. W Jezusie Bóg ukazał swą dobroć i czułość dla ludzi (Tyt 3, 4).

A tego właśnie Zacheusz nie zaznał od lat: miłości, przyjaźni. Nikt go tu nie potępia, nie straszy; doznaje jedynie miłości. Jest to tak niesłychane dla niego doświadczenie i przeżycie, że musi się w nim coś dokonać. I oto nagle realizuje się przemiana. Gdy był zewsząd napiętnowany, nic nie mogło się zmienić. Kiedy jednak nacisk ten zniknął i gdy poczuł się zaakceptowany, przyjęty, zmiana stała się możliwa. Gdy wszedł do domu, nie mógł już milczeć; wybuchnął:

„Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeżeli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnice” (Łk 19, 8).

(...)

Z chwilą, gdy pozwalamy, by Pan nas przeniknął — poza fasadę i do głębi serca — możemy być pewni, że coś się zmieni. W mgnieniu oka Zacheusz zerwał z pieniędzmi, ze swą dawną sytuacją życiową i z tym wszystkim, do czego był przywiązany. Owszem, był on niewolnikiem systemu rzymskiego, ale właśnie dlatego, że był przywiązany do pieniądza. Z chwilą przerwania tej cumy, pękły łańcuchy, stał się człowiekiem wolnym.

(...)

Pozostaje ostatnia jeszcze refleksja nad Zacheuszem na drzewie. Był on mały; musiał wspiąć się na sykomorę. Czyżby się wspiął, gdyby nie był mały? A gdyby się nie wspiął, czyż zdarzyłoby się to wszystko?

tłum. ks. Lucjan Balter SAC